



Prolog

12 kwietnia 1961 roku

Na miejsce startu dotarli nocą. Kosmodrom jaśniał na wielkiej, ciemnej równinie, stanowił jedyny świetlisty punkt w oceanie nocy. Pobliskie Töretam spało, nawet jedna świeczka nie płonęła w żadnym oknie. Mieszkańcy bardzo dbali o to, by nikt nie pomyślał, że interesują się wzmożonym ruchem na drodze, jeszcze częstszą niż zwykle obecnością wojska czy nadzwyczaj licznymi przelotami samolotów. Lata przeżyte w Kraju Rad nauczyły ich, że nadmierna ciekawość nie należy do cnót człowieka radzieckiego, a zbędna informacja to nie skarb, lecz wyrok śmierci w kieszeni. Gdy więc sześć lat wcześniej rozpoczęto budowę gigantycznego obiektu, większego niż jakiegokolwiek znane wcześniej w ZSRR lotnisko, starannie nie zwracali na nie uwagi.

– Bajkonur, Bajkonur – nucił Grigorij Nielubow, uśmiechając się kpiąco. Jak zawsze zadbany, może nawet nieco przesadnie, z modną fryzurą zaczesaną do góry. Siedzącemu obok niego w autobusie Gagarinowi zdawało się,

że uśmiech tego mężczyzny nigdy nie gasł, zawsze czaił się w kącikach ust. Nielubow chętnie śmiał się i żartował, choć bywał też gwałtowny i porywczy. – Wszystko tu nie takie, nie uważacie, towarzysze? Biedne Töretam nazwali Bajkonurem, w prawdziwym Bajkonurze ponoć zbudowali kosmodrom z dykty... Nasz statek raz nazywa się tak, raz siak... Sam już nie wiem, czy to sputnik, czy wostok...

– Siedziałybyś choć raz cicho, Grisza – prychnął z tylnego fotela Titow. – Pewnie najbardziej ci nie w smak, że nie ty polecisz.

– Nie polecę teraz, to załapię się na następny lot. Nam kosmos pisany, towarzysze. Ale pierwszy Ziemię z góry zobaczy nasz bohater. Coś taki milcząco, Jurij?

– Myślę o tym, jak tam będzie.

– Będzie, co ma być. Nie ma co nad tym dumać. Wszystko przeciwione i ustalone. Zresztą sterować będą tobą nasi, tu z dołu. Równie dobrze możesz sobie uciąć drzemkę i zostać pierwszym człowiekiem, który spał w kosmosie. Ciekawe, co by ci się śniło?

– Przymknij się, Grisza – powtórzył Titow. – Daj człowiekowi przygotować się w spokoju. To chyba ostatnie takie nasze chwile w życiu. Spokojne.

– A potem, wiadomo: sława. – Nielubow pokiwał głową. – Rauty, dziewczynki...

Autobus zahamował przed halami odpraw. I jak wyrzucił Titow: zaczęło się. Spadli na nich medycy, inżynierowie. Kosmonauci jeszcze raz musieli powtarzać wszystko, co już wcześniej recytowali po sto razy. Szef projektu Korolow, jak zwykle skupiony, dreptał za nimi krok w krok, pomrukując coś pod nosem. Co chwila dopadał go ktoś, pytał o szczegóły, które także powinny być od

dawna jasne dla każdego pracownika. Twórca radzieckiego projektu kosmicznego wzdychał, przymykał na chwilę oczy, po czym odpowiadał cierpliwie, powoli. Gagarinowi przyszło do głowy, że to lata niełaski nauczyły genialnego konstruktora pokory. Kogo raz skazano na łagry, ten na zawsze wyzbywa się wrywności.

– A ten Siewierin znowu się tu kręci – szepnął Nielubow, wskazując kiwnięciem głowy mężczyznę w mundurze pułkownika lotnictwa, który pojawił się na Bajkonurze niespełna miesiąc wcześniej. Niewysoki, wręcz tęgawy, zdaniem doświadczonych pilotów mógł być każdym, ale nie lotnikiem. Zza okrągłych drucianych okularów spoglądały na nich badawczo oczy krótkowidza. Nielubow miał ochotę strzelić gada w pysk za to spojrzenie, bo mu się zdawało, że Siewierin traktuje ich nie jak ludzi, ale jak okazy badawcze.

Uwagę przyciągała odznaka lśniąca na pułkownikowej piersi. Niby błyszcząły na niej sierp i młot, ale jakieś dziwne, bo otoczone kręgiem ze srebra. I jeszcze z jakąś plamą pośrodku. Jakby niedźwiedziem, ale niewyraźnym. Kosmonautów fascynował nie tylko tajemniczy pułkownik, ale i towarzystwo, które ze sobą sprowadził. Jego asystenci czuli się w lotniczych mundurach wyraźnie niekomfortowo, byli w dodatku w większości starzy i jacyś... nietypowi. Trzech z nich szwargotało między sobą po mongolsku, czwarty, też skośnooki, obracał w dłoniach coś, co wyglądało na różaniec. Z najnormalniejszym z nich, łysym, przygarbionym naukowcem, Nielubowowi udało się raz przez chwilę porozmawiać, gdy Siewierin był akurat zajęty czymś innym. I okazało się, że łysol to żaden inżynier, ale wyciągnięty z Syberii profesorek, który

jeszcze za cara badał na zsyłce obyczaje Jakutów. Coś próbował Nielubowowi tłumaczyć, że niby ludzie zawsze się łączą w plemiona – czy siedzą w lesie, czy w nowoczesnej centrali kosmodromu, ale pilot nie dał wiary temu bełkotowi. To wszystko musiał być kolejny rodzaj testu. I być może go oblał, i nie polecą teraz w kosmos ani nawet nie zostanie pierwszym zmiennikiem, właśnie dlatego, że dał się nabrać i zagadał do łysola.

Ech, partia słusznie obawiała się imperialistycznych szpiegów, ale czasem jej działania kontrwywiadowcze potrafiły przyprawić o ból głowy. Łatwiej zrozumieć fizykę raketową niż gry łowców szpiegów. Człowiek nigdy nie wie, co jest słusznym działaniem, co przypadkowym spotkaniem, a co prowokacją.

Kiedy Gagarin z Titowem poszli przebrać się w kombinizony, osamotniony Nielubow przysiadł na fotelu możliwie najdalszym od wesołej gromadki Siewierina. Wręcz odwrócił się od nich plecami. Sięgnął po leżący na stole notatnik i spróbował się skupić na wyrysowanych w nim koślawie wzorach. Po charakterze pisma poznał, że to praca jednego z najznamienitszych konstruktorów – Iwanowskiego. Uśmiechnął się krzywo. Oleg nie powinien tak beztrząsco porzucać swojego notatnika byle gdzie. Niby to kosmodrom, wszyscy tu zostali sprawdzeni tysiące razy, ale wiadomo – wróg czuwa. A jeszcze bardziej czuwają służby, które za taką niedbałość mogłyby narobić Iwanowskiemu przykrości. Gdyby udało im się znaleźć kogoś na jego miejsce. Jako szef mechaników Iwanowski był wręcz niezastąpiony.

– Czemu siedzicie tak osobno, towarzyszu? – odezwał się ktoś za jego plecami.

Nielubow zerwał się na równe nogi, odwrócił. No tak, ta podła świnia Siewierin. Mruży te swoje węzowe oczka, a we łbie kręca mu się już pewnie oskarżenia i donosiki. Jaki tam z niego lotnik! Zwykły żandarm i tyle! A mało kogo Nielubow darzył równą pogardą jak żandarmów. Ni by to żołnierze, ale zawsze siedzą na tyłach i tylko kombinują, jak by tu zaszkodzić prawdziwym frontowcom.

– To ostanie spokojne chwile przed odlotem, towarzyszu pułkowniku – odpowiedział, jak miał nadzieję, spokojnie. I nawet lekko się uśmiechnął. – Cisza przed burzą. Pomyślałem, że przygotowuję się w ciszy. Na razie żadnej roboty tu dla mnie nie ma.

– Człowiek radziecki, zwłaszcza żołnierz, zawsze jest w pracy – odparł surowo Siewierin. – No ale nie przyszedłem was strofować, towarzyszu. Zaciekawiliście mnie. Rozmawialiście z profesorem Grodzickim, prawda? Zainteresowała was nasza praca.

– Och, to tak dla zabicia czasu – zbagatelizował Nielubow. Czego chce od niego to bydło? – Ja jestem człowiek prosty, serdeczny. Stał profesor samotny, to zagadałem.

– To się chwali! – huknął niespodziewanie Siewierin i wykrzywił gębę w czymś, co w jego mniemaniu miało być uśmiechem. – Zwróciliście moją uwagę, towarzyszu. Kto wie, może jeszcze popracujemy razem? A teraz miałbym do was małą prośbę...

Nielubow nie miał wyjścia. Zapewnił, że z ochotą spełni każde życzenie pułkownika. A gdy słuchał następnych słów Siewierina, zdębiał. Czyżby ten gad robił sobie z niego żarty? Pułkownik powtórzył jednak swoją prośbę dwa razy. A potem udał, że dopiero teraz dojrzał notatnik Iwanowskiego, który pilot cały czas trzymał w ręce.

– Oj, to chyba naszego szefa mechaników! – zawołał. – Lepiej mu go zaniosę!

Prawie wyrwał notatnik z ręki Nielubowa. Pognał z nim śmiesznym truchtem ku Iwanowskiemu, coś tam do niego gadał po cichu, a oczy mechanika robiły się większe i większe. Nielubow dałby wiele, żeby usłyszeć, co mówili między sobą ci dwaj. Iwanowski był wyraźnie niezadowolony, protestował. Pułkownik zmarszczył groźnie brwi, podniósł na chwilę głos, dzięki czemu dało się słyszeć, że to rozkazy prosto z Kremla. Iwanowski zwiesił głowę, odszedł.

A ledwie parę minut później okazało się, że jest problem, awaria. Akurat Gagarin z Titowem wychodzili, już gotowi do startu, w kombinezonach i w hełmach na głowach. Nielubow ruszył ku nim, jak nakazywały protokoły. Gdyby Gagarin zasłabł, zastąpiłby go gotowy do lotu Titow, Nielubow był tylko zbędnym ozdobnikiem.

– Co się dzieje? – zapytał Gagarin, widząc zamieszanie.

– Przy sprawdzaniu hermetyczności czujnik na włązie nie wydał żądanego sygnału. – Korolow pojawił się przy nich, jakby wyrósł spod ziemi. – Oleg ze swoimi już tam pędzą. Oby to nie było nic poważnego, lot trzeba by odwołać, a każda godzina cenna.

Prawda, przecież Amerykanie spieszyli się z własnym programem, by wyprzedzić radziecki. Tu gra szła o honor już nawet nie Korolowa i kraju, ale całego bloku komunistycznego. Tamci może wcześniej zbudowali bombę atomową, ale to obywatel Związku Radzieckiego musi być pierwszym, który wyruszy w kosmos.

– Patrzcie, jakie zuchy! – cieszył się Korolow. – Trzydzieści nakrętek odkręcili i przykręcili z powrotem w dwie minuty!

– I jeszcze domalowali jakąś linię łączącą je wszystkie... – zdziwił się Nielubow. – Po co to?

Powtórzone testy wykazały, że wszystko gra, włącz wyregulowano, jego szczelność nie budziła wątpliwości. Kosmonauci mogli spokojnie ruszyć ku trapowi wiodącemu do kapsuły, w której Gagarin miał odbyć swoją podróż. Statek usadowiony na długiej na trzydzieści trzy metry rakiecie, pierwotnie będącej jednym z pierwszych pocisków balistycznych armii radzieckiej, miał zapewnić bezpieczeństwo na czas całej podróży. Gdy stanęli przed włazem, Nielubow uznał, że spełni „prośbę” Siewierina. Położył Gagarinowi rękę na ramieniu.

– Ejże! – zawołał. – Tak polecisz do gwiazd?

– Co ci nie pasuje? – warknął Titow. – Znowu jakiejś głupoty?

– Głupoty? – udał oburzenie Nielubow. – Jak możecie, towarzyszu?! Spójrzcie na Jurija. Ma lecieć w gołym hełmie? Ludzie muszą od pierwszego spojrzenia wiedzieć, że on nasz. Trzeba tu napisać: „ZSRR”!

– Prawda – stropił się Gagarin. – Przydałoby się. Ale nie ma już czasu wracać. A ołówkiem nic nie będzie widać.

– Mam sposób! – zawołał wesoło Nielubow, choć w duchu aż ścierpł. Prędko wyjął z kieszeni munduru scyzoryk, nakłuł palec i krwią napisał na hełmie Gagarina „СССР”. – No i teraz jest, czerwony jak sztandar! Leć, bracie!

Jak tylko Gagarin zapakował się do statku, Nielubow z Titowem wrócili między inżynierów. Siewierin skinął pilotom głową. Titow odwrócił wzrok. Nie zdążyli nawet zająć wyznaczonych dla nich miejsc, gdy zaczęło się odliczanie. Kiedy rakieta stanęła w ogniu, Nielubow zacisnął

pięści. „Żeby się nic nie stało!” – modlił się w duchu. „Żeby poszła! Żeby nic złego się nie stało!”

Zerknął na Titowa i spostrzegł, że tamten porusza niemowcami ustami. Jakby też się modlił.

Wostok unosił się na kolumnie ognia zaskakująco powoli, jakby niechętnie. Przewyciężył jednak niemoc i ruszył ku niebu. Inżynierowie odliczali na głos, zegary wskazywały cenne sekundy, a Korolow prawie krzyczał, że wszystko się zgadza, wszystko o czasie. Do sto pięćdziesiątej szóstej sekundy, kiedy silnik powinien był zgasnąć, a wciąż pracował. Słup ognia niósł wostoka odrobinę za dłużej.

– Poleciał za wysoko! – jęknął Iwanowski.

– Jest na orbicie, wszystko gra! Ściągniemy go, damy radę! – Korolow otarł nerwowo pot z czoła. – Sukces, towarzysze!

Pierwsze słowa, jakie zdołał wydobyć z siebie Gagarin, urwały się, radio rzęziło, krztusiło się. Ale okrzyk: „Jak tu pięknie!” wybrzmiał z całą mocą. Nagle ludzie poderwali się z miejsc, klaskali, klepali się po plecach, padali sobie w ramiona. Nielubow także się zorientował, że ściska się z Titowem. Obaj mieli łzy w oczach.

Dopiero gdy pierwszy entuzjazm opadł, znowu usłyszeli głos pierwszego człowieka w kosmosie.

– Czy on... śpiewa? – zdumiał się Iwanowski.

Rzeczywiście, Gagarin śpiewał. Oblatywał Ziemię dookoła, kierując się, zgodnie z planem, nad Pacyfik. I nad całą Ziemią miał zabrzmieć jego śpiew.

Nie wiedzieć czemu, tknięty nagłym impulsem, Nielubow obejrzał się na Siewierina. Pułkownik uśmiechał się szeroko i chyba po raz pierwszy szczerze. Zorientował się,

że pilot patrzy na niego. Mrugnął do niego. A potem sam zaczął podśpiewywać pod nosem.

I tak na niebie i na Ziemi zabrzmiały słowa tej samej pieśni:

*Родина слышит, Родина знает,
Что её сын на дороге встречает,
Как ты сквозь тучи путь пробиваешь.
Сколько бы чёрная буря ни злилась,
Что б ни случилось,
Будь непреклонным, товарищ,
Будь непреклонным, товарищ!**

**24 października 1961 roku, godzina 10.33, Waszyngton DC,
Biały Dom**

Robert McNamara, sekretarz obrony USA, polewał twarz zimną wodą. Długo wpatrywał się w swoje zmęczone i nienaturalnie szare odbicie w lustrze. Po raz kolejny zastanawiał się, czy jest odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. Wątpliwość nie wynikała z jego skromności. Dysponując wyjątkowym darem analitycznym, doskonale rozumiał otaczający go świat. Miał świadomość, że decyzje, jakie wkrótce zapadną z jego

* Ojczyzna słyszy, ojczyzna wie,
Co jej syn spotyka na drodze,
Jak przełamać ścieżkę przez chmury?
Nieważne, jak bardzo czarna wichura jest wściekła.
Cokolwiek się stanie,
Bądź nieugięty, towarzyszu,
Bądź nieugięty, towarzyszu!

udziałem, zmieniają historię. Bo właśnie teraz wraz z Kennedym i jego ekipą stali w obliczu nuklearnej zagłady.

Sowieci wysoko zawiesili poprzeczkę. Od początku kadencji młodego prezydenta za każdym razem zwiększali presję, by odkroić odrobinę większy kawałek światowego tortu zwanego strefą wpływów. Najpierw kryzys berliński, potem triumf z Gagarinem, a teraz to. Kuba, Castro i rakiety z głowicami nuklearnymi pod amerykańskim nosem. Kubę w tej chwili Biały Dom przegrywał. Katastrofalna w skutkach decyzja o użyciu siły wobec rewolucyjnego reżimu i inwazji w Zatoce Świń okazała się spektakularną porażką wojskową.

Za Zatokę Świń McNamara winił słusznie tylko samego siebie. Nie tyle nie obalił wrogiego Ameryce reżimu gnieźdzącego się tuż u jej bram, ile wepchnął go w gorący niedźwiedzi uścisk Sowietów.

Zdawał sobie sprawę, że na więcej błędów już nie może sobie pozwolić. Dlatego gdy kwadrans wcześniej prezydent zapytał go w czasie niekończących się obrad ExComu, czy US Navy posiada odpowiednie procedury, by odpowiedzieć na sowieckie próby przełamania blokady, musiał poprosić o chwilę przerwy. Chciał spojrzeć w odbicie w lustrze i po raz setny zapytać sam siebie, czy jest gotów na to, co trzeba będzie zrobić. Wierzył, że nadto twarda, wojownicza postawa w starciu z ZSRR doprowadzi świat do zagłady. Jednak ustępstwa wobec ZSRR musiały zakończyć się klęską demokracji. Musieli znaleźć z prezydentem zły środek, ale Rosjanie cisnęli, tak cholernie cisnęli!

Kiedy prezydent dowiedział się, że Sowieci instalują na Kubie wyrzutnie rakiet z głowicami nuklearnymi wymierzone w amerykańskie miasta, musieli szybko podjąć

decyzję, jak zareagować. Wbrew twardogłowym generałom prącym do otwartej konfrontacji wybrali – wydawać by się mogło – najlepsze rozwiązanie. Całkowitą morską blokadę wyspy.

Prezydent wysłał na Morze Karaibskie flotę stu osiemdziesięciu okrętów, włączając w to lotniskowce zapewniające parasol ochronny z powietrza. Odsyłali sowieckie statki z bronią i sprzętem z kwitkiem do Matuszki Rosji. Mieli jednego arcyważnego asa w rękawie. Rosyjskiego zdrajcę w GRU, agenta „Hero”, który wyjawiał im, że mimo buńczucznych pokrzykiwań sowieckiego genseka ZSRR nie jest gotowy do wojny, a arsenałem rakietywnym znacznie ustępuje Ameryce. Po jaką więc cholere te ruskie ćwoki wysłały cztery okręty podwodne klasy Foxtrot w kierunku Kuby? Ciekawe, czy wiedzieli, że są obserwowani od momentu wypłynięcia na północny Atlantyk. System SOSUS zdał egzamin znakomicie.

McNamara starannie wytarł mokrą twarz czystym białym ręcznikiem i założył okulary. W szafce obok umywalki leżał jego mały czarny grzebień i stała buteleczka olejku do włosów. Wszyscy pracownicy prezydenckiej administracji korzystający z tej łazienki wiedzieli, do kogo należą te akcesoria. Nikt bardziej nie dbał o wygląd fryzury niż McNamara. Po raz setny dziś gładko zaczesał do tyłu ciemne włosy i wyrównał nieskazitelny przedziałek po lewej stronie.

Kiedy Kennedy formował swój gabinet w styczniu 1961 roku, dał McNamarze wybór: albo handel, albo Pentagon. „Wybrałem wojnę” – pomyślał McNamara. Nie bez powodu.

Otworzył drzwi i poszedł powiedzieć prezydentowi, co zrobić. Rosyjskie foxtroty trzeba wytropić i zmusić do

wypłynięcia na powierzchnię, obrzuciwszy je ćwiczebnymi bombami głębinowymi. Pociski te nie mogły zrobić im krzywdy, ale za to robiły bardzo dużo hałasu. To powinno przyciągnąć ich uwagę. Zrozumieją, że są bez szans.

27 października 1961 roku, godzina 21.45, Morze Karaibskie, wody międzynarodowe niedaleko Kuby, ok. 100 metrów pod powierzchnią. B-59, radziecka łódź podwodna typu Foxtrot

Kapitan Walery Sawicki nie wiedział wielu rzeczy. Rosjanie nie zdawali sobie sprawy z istnienia systemu sonarowego SOSUS, zdolnego do wykrycia ich okrętu. Kapitan łodzi podwodnej B-59 nie miał pojęcia, że jego obecność na Morzu Karaibskim nie jest dla Amerykanów tajemnicą. Najpierw byli bez ustanku śledzeni, o czym wiedzieli, ponieważ czujniki sygnalizowały użycie wrogich sonarów. Trzeci zastępca kapitana i jednocześnie oficer polityczny Iwan Masliennikow był głęboko przekonany, że w związku z tym w sztabie operacji Anadyr amerykańscy imperialiści mają ulokowanego i dobrze zakonspirowanego szpiega, który bezustannie zdradza ich pozycję amerykańskiej flocie.

No i proszę, zaraz po przekroczeniu linii bezprawnej blokady zaczęła ich tropić amerykańska grupa *hunter-killers* z lotniskowcem USS Randolph na czele. Masliennikow nie omieszkał dzielić się podejrzeniami z kapitanem Sawickim. A ten, mimo że był człowiekiem rozsądnym, pozwolił, by ziarna zwątpienia w radzieckie dowództwo zasiano w jego umyśle. Grunt miały podatny. Drogę z radzieckiej bazy w zatoce Sajda Guba B-59 na Morze

Karaibskie przebył w zanurzeniu i na chrapach, a radzieckie foxtroty należały do najlepszych konwencjonalnych łodzi podwodnych na świecie. „Jakim cudem Amerykanie nas znaleźli?” – pytał sam siebie.

Sawicki nie wiedział, że inni kapitanowie foxtrotów zadawali sobie dokładnie to samo pytanie. Nie wiedział również, że reszta została wytropiona i zmuszona do wypłynięcia na powierzchnię, a radzieckie dowództwo wydało poszczególnym jednostkom rozkaz powrotu do domu. Kapitan Sawicki z uporem trzymał swoją łódź w zanurzeniu od stu do sześćdziesięciu metrów pod powierzchnią. Dokonał awaryjnego zanurzenia prawie dobę temu, kiedy namierzył ich wrogi samolot S-2 Tracker i obrzucił czterema ćwiczebnymi bombami głębinowymi.

Sytuacja statku i jego załogi stała się krytyczna. Z każdą minutą rósł poziom dwutlenku węgla wewnątrz łodzi, zmniejszał się tym samym poziom tlenu i załoga powoli zaczynała się dusić. Uczucie duszenia się wzmagająca bardzo wysoka temperatura i wszyscy członkowie załogi byli skrajnie wyczerpani. Baterie B-59 były na wykończeniu i wymagały natychmiastowego naładowania, a w tym celu należałoby się wynurzyć. Dwanaście godzin temu do akcji weszły amerykańskie niszczyciele. Z jednego najpierw obrzucono ich granatami, ponownie dając sygnał do wynurzenia się.

Kapitan Sawicki nie wiedział najważniejszego – czy na powierzchni toczy się wojna. Bał się, że kiedy wypłynie, zostanie wraz z załogą pojmany i aresztowany. Jego frustracja rosła z czasem, bo w zanurzeniu nie mógł się połączyć z dowództwem. Osiągnęła apogeum, gdy drugi z niszczycieli zaczął bombardować okręt pociskami

ćwiczebnymi. Przerażona załoga była pewna, że została zaatakowana, ponieważ huk pocisków był przeraźliwy, a wstrząsy – trudne do wytrzymania.

Szef sztabu eskadry kapitan Wasilij Archipow liczył po cichu te bomby. Na razie doliczył się czterech i w duchu, mimo że był zagorzałym komunistą wykluczającym z zasady obecność Boga w świecie, modlił się, by nie było ich więcej. Widział zmęczenie i desperację kapitana Sawickiego, strach załogi. Sam ledwo się trzymał na nogach. Jego modły nie zostały jednak wysłuchane. Piąty pocisk nie tylko wybuchł. Ekspłodował bezpośrednio na kadłubie B-59. Zgodnie z założeniem McNamary nie wyrzucił okrętowi żadnej – nawet najmniejszej – krzywdy, ale dla wyczerpanego rosyjskiego kapitana miarka się przebrała.

Sawicki nie wytrzymał i huknął pięścią w metalowy stół, przy którym zwykł studiować mapy.

– Może tam, na górze, zaczęła się wojna, podczas gdy my tutaj fikamy koziołki! Teraz ich rozwalimy. Sami zginemy, ale ich wszystkich zatopimy. Nie przyniesiemy wstydu naszej marynarce.

Kapitan wezwał komandora porucznika Walerego Bratiszkę i rozkazał mu uzbroić torpedę.

Wtedy w sprawę wmieszał się Wasilij Archipow, który mimo skrajnego wyczerpania nie był gotów na atomową apokalipsę.

– Towarzyszu kapitanie, proszę się uspokoić i natychmiast odwołać rozkaz. – Wstrzymał ruchem ręki komandora porucznika Bratiszkę. – Nie mamy polecenia z dowództwa, żeby rozpoczynać atak nuklearny.

– A co, jeśli nie ma już dowództwa? Wrogowie czają się nad naszymi głowami i bezlitośnie bombardują radziecką

łódź podwodną. Nie będę patrzył na to beczynn timer! Nie pozwolę, by uszło im to na sucho!

Archipow podniósł uspokajająco ręce. Musiał wpłynąć na kapitana, by ten zmienił decyzję. Wiedział, że od tego zależą losy świata. Był również przekonany, że Amerykanie nie chcą zrobić im krzywdy. Tylko jak przekonać o tym Sawickiego?

– Zgadza się z wami, towarzyszu kapitanie, ale jest pan rozsądnym człowiekiem, dobrym komunistą i MUSI pan rozumieć, że atak nuklearny doprowadzi do nieodwracalnych konsekwencji. W tej sytuacji naszą dumę musimy schować do kieszeni.

Sawicki dalej był wściekły, ale powoli para zaczynała z niego uchodzić. Archipow argumentował dalej:

– Amerykanie do tej pory wystrzelili w nas serię nie większą niż pięciu pocisków. Dają nam do zrozumienia zgodnie z regułą wojny na morzu: nie chcą nam zrobić krzywdy, chcą naszego wynurzenia.

Sawicki upierał się dalej:

– No oczywiście, że chcą wynurzenia. No bo jak inaczej mogliby wziąć nas w niewolę i zająć B-59? Nigdy na to nie pozwolę.

Archipow musiał sięgnąć po argument ostateczny:

– Dobrze, skoro nie chce pan, towarzyszu kapitanie, wysłuchać racjonalnych argumentów, jestem zmuszony wydać panu rozkaz. Zabraniam odpalenia torped. To rozkaz. Mówię jako szef sztabu eskadry łodzi podwodnych 4 Dywizji Floty Północnej.

Archipow wydał rozkaz spokojnie. Cedził słowa. Miał szczerą nadzieję, że ten spokój w końcu wpłynie na kapitana. Po części miał rację. Ale nie do końca.

– Owszem, jest towarzysz szefem sztabu – odpowiedział kpiąco Sawicki. – Moim przełożonym we flocie. Ale na moim okręcie według wytycznych dowództwa podlega pan moim rozkazom.

Archipow uśmiechnął się lekko:

– Skoro mowa o wytycznych dowództwa, to przypomnę, towarzyszu kapitanie – tu zwrócił się do komandora porucznika Bratiszki oraz oficera politycznego Masliennikowa – że odpalenie torpedy z ładunkiem nuklearnym powinno być zatwierdzone przez trzech oficerów jednomyślnie. Towarzysza kapitana, mnie oraz was, towarzyszu Masliennikow.

Sawicki w końcu ochłonął, ale był ciekaw:

– Co wy na to, towarzyszu politruku?

Masliennikow wpatrywał się to w jednego kapitana, to w drugiego. Partia nauczyła go, by być twardym.

– Jebać imperialistów – oświadczył.

Archipow wstrzymał oddech. Teraz naprawdę zaczął się bać. Ku jego uldze Sawicki jednak zmienił zdanie.

– Towarzyszu komandorze, poruczniku Bratiszko, proszę anulować poprzedni rozkaz. Jeśli Amerykanie nie chcą nas skrzywdzić, to nie będzie szóstej bomby.

Admirał Wasilij Archipow znów zaczął się modlić.

* * *

W.H. Morgan, kapitan amerykańskiego niszczyciela USS Cony, też nie wiedział bardzo ważnej rzeczy. Że na pokładach tropionych przez nich czterech radzieckich okrętów podwodnych znajdowały się nowoczesne torpedy T-5 uzbrojone w głowice nuklearne. Sowieci skończyli ich

testy ledwie przed rokiem, więc w ich arsenale były jak świeżutkie bułeczki w piekarni.

Gdyby wiedział to na pewno, obchodziłby się z B-59 jak ze śmierdzącym jajkiem, zamiast z dużą radością obrzucać wroga ćwiczebnymi pociskami w nadziei, że sto metrów niżej ruskie srają ze strachu. Z jednej strony podziwiał upór wrogiego kapitana. Wyobrażał sobie, że marynarze w łodzi podwodnej naprawdę nie mają już czym oddychać. Z drugiej strony dziwił mu się, bo po cholere się tak męczyć? Amerykańskie niszczyciele zabawiają się nim jak kot ze złapaną w łapy myszą. Rusek nie ma dokąd uciec, nie ma czym walczyć. Poza tym sam miałby ruszyć na eskadrę hunter-killerów?

W.H. Morgan nie miał pojęcia, że mysz to zimnokrwista, śmiertelnie niebezpieczna bestia, tyle że niepozorna. Taka ośmiornica *Hapalochlaena*.

– Cholera, ile oni już siedzą pod wodą? – zapytał electronic materials officera, odpowiedzialnego za nasłuch wrogiej jednostki.

– Dwanaście godzin, sir.

– I ostatnia bomba uderzyła w kadłub?

Żołnierz uśmiechnął się zawadiacko:

– Tak jest, sir. Musiała napędzić im niezłego stracha.

Kapitan, podobnie jak wszyscy uczestnicy tego teatru wojny, był cholernie zmęczony.

– Dobra, synu, dajmy im jeszcze do wiwatu. Są twardzi, ale my jesteśmy twardsi. Przyłóżcie im jeszcze jednym pociskiem. Widać nie dosyć ich zdopingowaliśmy do wynurzenia. Nic nam przecież nie mogą zrobić, prawda?

Towarzysze kapitana na mostku zgodnie uśmiechnęli się pod nosem.

I kiedy kilka minut później przerażony EMO krzyczał coś o torpedzie odpalonej w kierunku USS Randolph, zanim świat ogarnął wszechpotężny, niszczący ogień, wielu z nich pomyślało, że jednak coś się spieszyło.

28 października 1961 roku, godzina 6.00, podmoskiewska dacha pierwszego sekretarza KC KPZR

Nikita Stolarow nie cierpiał budzić szefa. Pierwszy sekretarz KC KPZR Nikita Chruszczow za plecami nazywany był przez swoich najbliższych współpracowników Zosią Samosią nie bez powodu. Wszystko chciał robić sam. Oczywiście najbardziej lubił rządzić i mieć władzę. Najlepiej sam. Niestety dla szefa ochrony i jednocześnie swojego imiennika Chruszczow lubił również sam się budzić i nie cierpiał, kiedy ktoś zakłócał mu te krótkie chwile odpoczynku.

Zazwyczaj impet Chruszczowowskiego niezadowolenia Stolarow dzielnie brał na klatę, jednak nigdy nie omieszkał dać do zrozumienia sprawcom tych nieplanowanych pobudek, że są mu winni dużą przysługę. Wszyscy w otoczeniu pierwszego sekretarza zdawali sobie sprawę, że szef ochrony to człowiek mający zaraz po najbliższej rodzinie nieograniczony dostęp do głowy państwa i tak naprawdę czort jeden wie, co tam sobie szepczą do uszu. Dlatego nikt nie zadzierał z pułkownikiem Nikitą Stolarowem, nawet najwyżsi i najpotężniejsi dostojnicy Kraju Rad woleli mieć go po swojej stronie.

Teraz, siedząc na bardzo niewygodnym fotelu kierownika zmiany w kanciapie, tuż obok sypialni pierwszego sekretarza w jego daczce pod Moskwą, wpatrywał

się w czerwone migające światółko telefonu. Oznaczało oczekiwanie na połączenie. Zanim podniósł słuchawkę, pomyślał o dwóch gnębiących go sprawach. Z każdym rokiem służby coraz bardziej nie cierpiał budzić szefa, ponieważ ataki niezadowolenia wraz z upływem czasu stawały się bardziej gwałtowne i nieprzewidywalnie chaotyczne. Stolarow pocieszał się, że towarzysz pierwszy sekretarz wyraźnie powtórzył na wczorajszym posiedzeniu Komitetu Obrony ZSRR, że ze względu na ostatnie wydarzenia jest dostępny dla jego członków bez względu na porę dnia i nocy. Jednak doświadczenie podpowiadało pułkownikowi, żeby nie przykładać do gadaniny pierwszego sekretarza zbyt wielkiej wagi, ponieważ i tak zazwyczaj kończyło się tylko na gadaniu. I to sprawiło, że duszę i umysł Nikity Stolarowa mrugająca lampka telefonu napełniła przez moment nieokiełznaną trwogą, no bo kto i po co, do cholery, chce budzić pierwszego sekretarza KC KPZR? Sprawa musi być naprawdę poważna. Podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Marszałek Rodion Malinowski do towarzysza pierwszego sekretarza. Pierwszy stopień, powtarzam: pierwszy stopień.

Stolarow wyćwiczonym ruchem przełączył rozmowę. Nawet go nie zdziwiło, że pierwszy sekretarz podniósł słuchawkę po jednym sygnale. Nie zadenuncjował marszałka. Gardło skutecznie ścisnęła mu przeraźliwa trwoga.

Nie mógł wiedzieć, że pierwszy sekretarz dziś nie będzie na niego zły. Chruszczowa nikt nie mógł obudzić, ponieważ w ogóle nie kładł się spać. Pierwszy sekretarz KC KPZR nie spał dobrze od dekad i doskonale wiedział dlaczego. Nikita Chruszczow panicznie się bał. Odkąd

pamiętał, zawsze się bał. Najpierw tego potwora Stalina, który z lekceważeniem mówił na niego „Nikitka”. Potem Hitlera i hordy jego barbarzyńskich morderców, których zbrodni był bezpośrednim świadkiem. Zabili mu nawet syna. Zaraz po nich chorobliwie lękał się amerykańskich imperialistów i ich arsenału nuklearnego.

Pierwszy sekretarz wysłuchał raportu marszałka Malinowskiego. Wieści mroziły krew w żyłach. Radiotelegrafista z Kuby donosił o wybuchu nuklearnym na morzu. Grzyb był wyraźnie widoczny, wyspa przygotowuje się w panice na nadejście tsunami. Odłożył słuchawkę.

Malinowski postawił armie w stan najwyższej gotowości, członkowie rządu jadą na daczę, by omówić plan działania. Chyba rozpoczęła się wojna.

Chruszczow zmełł w ustach przekleństwo. Nie planował teraz wojny. Jak to się, do cholery, stało?! Przecież podpuścił tych głupkowatych Amerykanów, a potem im darował. Wczoraj już się pogodził, że nie będzie miał rakiet z głowicami atomowymi trzysta siedemdziesiąt kilometrów od Florydy, ale przecież dał jankesom pstryczka w nos i uratował nowego internacjonalistycznego druha, komunistę Fidela Castro. Bezpieczny komunista i jego utopia trzysta siedemdziesiąt kilometrów od Florydy. To są dopiero jaja. Parę godzin i taki klops. Nakazał Malinowskiemu spokój i dogłębne zbadanie sprawy. Będzie musiał od razu porozmawiać z Gromykiem. Amerykanów trzeba będzie jakoś uspokoić. Jeżeli w ogóle będą chcieli jeszcze gadać.

Paradoksalnie, kiedy zakończył rozmowę, strach go opuścił. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu w końcu poczuł głęboką ulgę i odetchnął pełną piersią.

Przecież to on ostatecznie odarł Stalina z kultu i strącił z poślaczanego pamięcią piedestału w otchłań zapomnienia. Szwabów pogonił pod Stalingradem i pod Kurskiem. Dawno temu uwierzył, że zmyślona historia o wyciągniętych od niemieckiego dezertera informacjach pomogła Żukowowi wygrać tę największą pancerną bitwę świata.

Tak więc z tymi durnymi Amerykanami też sobie poradzi. I z ich pieprzonymi imperialistycznymi bombami. Ma już nawet sposób. Co prawda jeszcze nie do końca sprawdzony, być może jeszcze zawodny, ale pierwsze rezultaty okazały się bardzo zadowalające. Poza tym czy miał inny wybór?

Zatrzymał się pod drzwiami tuż przed wyjściem, bo prawie zapomniał o jednej rzeczy.

Jeszcze raz podniósł słuchawkę.

– Towarzyszu pułkownika, połączcie mnie z Iwanem Sierowem.

Chwilę musiał poczekać. Nawet on. Ale rozumiał to, Sierow pewnie jest teraz w środku huraganu, próbując się dowiedzieć, co się stało na Karaibach. Był przecież szefem wywiadu wojskowego.

Wreszcie odebrał.

– Nic nam nie dała „zdrada” Pieńkowskiego, towarzyszu generale...

Sierow nic nie odpowiedział, tylko odchrząknął zakłopotany. Pierwszy sekretarz kontynuował:

– Zanim podacie się do dymisji, to wrzucie go do kotła. Z pełnym rytuałem. Rodziny zgodnie z umową nie ruszajcie.

Sierow potwierdził zachrypniętym, przybitym głosem, a Chruszczowowi, kiedy odkładał słuchawkę, nie wiedzieć czemu przyszła na myśl zhora każdego rosyjskiego dziecka. Baba Jaga.